

SOPHIE ANDERSON



ZACZAROWANY
ZAMEK

Young

SOPHIE ANDERSON

ZACZAROWANY ZAMEK

Z języka angielskiego przełożył
Przemysław Hejmej

Zilustrowała
Saara Söderlund



TYTUŁ ORYGINAŁU:
The Castle of Tangled Magic

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik
Wydawczynie: Agata Garbowska-Karolczuk
Redakcja: Adrian Kyc / Rytm pisania
Korekta: Ewa Popielarz
Projekt i ilustracje na okładce: © Urszula Gireń
Ilustracje w książce: Saara Katarina Söderlund © Usborne Publishing, 2020
DTP: Maciej Grycz

Text copyright © Sophie Anderson, 2020
Copyright © 2022 for the Polish edition by
Young an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus
Copyright © for the Polish translation by Przemysław Hejmej, 2022

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2022
ISBN 978-83-67137-30-0

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl





ROZDZIAŁ 1

PORANNA GONITWA

Budzę się o wschodzie słońca, gotowa na poranną gonitwę. Miodowy brzask sączący się przez okno mojej sypialni ogrzewa sosnowe ściany, rzuca na nie poświatę, sprawia, że słodko pachną. Siadam na łóżku i gapię się pod światło, aż wreszcie zauważam sylwetkę Babusi. Idzie chwiejnym krokiem po łące porośniętej długą żółtą trawą, wsparta na swoich dwóch laskach. Na plecach ma wielki kosz z kory brzozonej, znajduje się już w połowie drogi do owocowego sadu nad jeziorem. Mrużę oczy, zaczynam odliczać.

Raz. Na gołe stopy wsuwam wielkie wełniane skarpety, które Babusia zrobiła dla mnie na drutach.

Dwa. Skaczę po szmacianym dywaniku, wspólnym dziele mamy i moim, zamasyście otwieram drzwi sypialni i gwałtownie wypadam na długi korytarz drugiego piętra.

Trzy, cztery, pięć. Wykonuję pięć potężnych susów, potem ślizgam się po posadzce; wełniane skarpety suną po gładkich świerkowych deskach szybciej niż łyżwy po lodzie.

Sześć. Docieram do pierwszych schodów, wskakuję na ogromną dębową poręcz, a następnie zjeżdżam tak prędko, że walące serce nie może za mną nadążyć. Z portretów, marszcząc brwi, spogląda na mnie kilku mych królewskich przodków, ale krzycząc z radości, nie zwracam na nich uwagi.

Siedem, osiem, dziewięć, dziesięć. Pokonuję w ten sposób dwa kolejne korytarze i mijam upiorny zarys sekretnych drzwi wiodących do kopuły zwanej Kopułą Muzyczną – znalazłam tam altówkę oraz parę starodawnych, odręcznych partytur, które pod wpływem dotyku rozpadły się na strzępy.

Jedenaście, dwanaście. Jeszcze dwie poręcze, po których mogę zjechać, jeszcze więcej krzywiących się przodków, a także wyblakły, podarty gobelin z królewskim godłem, z irytacją sapiący w powietrze kurzem.

Trzynaście. Łąduję na nierównym parkiecie parteru i zaczynam biec, ponieważ na wzorzystych mozaikach skarpetki już nie ślizgają się tak dobrze.

Czternaście. Pędzę przez ulubioną część zamku, czyli naszą kuchnię, machając ręką do swojego ciemnowłosego taty, który smaży grzanki – tak to przynajmniej pachnie – na ogromnym kaflowym piecu. Macham również

mojej rudowłosej mamie, nalewającej kawy z miedzianego rondelka z długą rączką. O obecności siostry świadczy jedynie kilka miękkich, jedwabistych loków, które wystają z jasnozielonego nosidła. Mama ma je na sobie, aby Roza była blisko jej serca.

Piętnaście, szesnaście. Zatrzymuję się z trudem obok drzwi prowadzących z kuchni na dwór i naciągam buciorę oraz zbyt duży rozpinany sweter, zrobiony na drutach przez Babusię. Uśmiecham się, bo zabawę mam przednią.

Siedemnaście. Wypadam przez drzwi wprost na barwiony złotem i rdzą jesienny świat na zewnątrz. Biorę głęboki wdech i piszczę z radości, bo wszystko jest tak piękne.

Osiemnaście, dziewiętnaście. Śmigam sprintem w dół zbocza w kierunku jeziora. Powietrze jest chłodne, pełne glebowych zapachów opadłych klonowych liści oraz woni dojrzewających orzechów.

– Dwadzieścia! – krzyczę, dotarwszy do Babusi. – O dwie sekundy szybciej niż wczoraj!

– Ale ciągle masz na sobie pizamę – odpowiada Babusia, nie podnosząc na mnie wzroku. – I nie jadłaś śniadania.

Skupia się na miejscach, w których powinna oprzeć laski, a potem postawić stopy. Grunt jest nierówny, pobrużdżony.

– W pizamie jest mi całkiem wygodnie, a głodna nie jestem. – Wyciągam rękę.

Gdzieś w głębi gardła Babusi wznosi się jęk irytacji, ale podaje mi jedną z lasek, a sama bierze mnie pod łokieć.

– Nie musisz co rano organizować tej gonitwy za mną, Oliu. Świetnie sobie radzę z podpórkami. – Babusia zadziera głowę, a jej wielkie ciemne oczy lśnią odbitym światłem wschodzącego słońca.

– Wiem o tym. Po prostu lubię te poranne wyścigi. I... – Waham się i zastanawiam, czy ujawnić przed Babusią inny powód, dla którego codziennie ją doganiam. – Wydaje mi się, że w twojej obecności są większe szanse na zobaczenie jakiejś magii.

Babusia chichocze.

– Magia jest wszędzie tam, gdzie się wierzy, że ona jest.

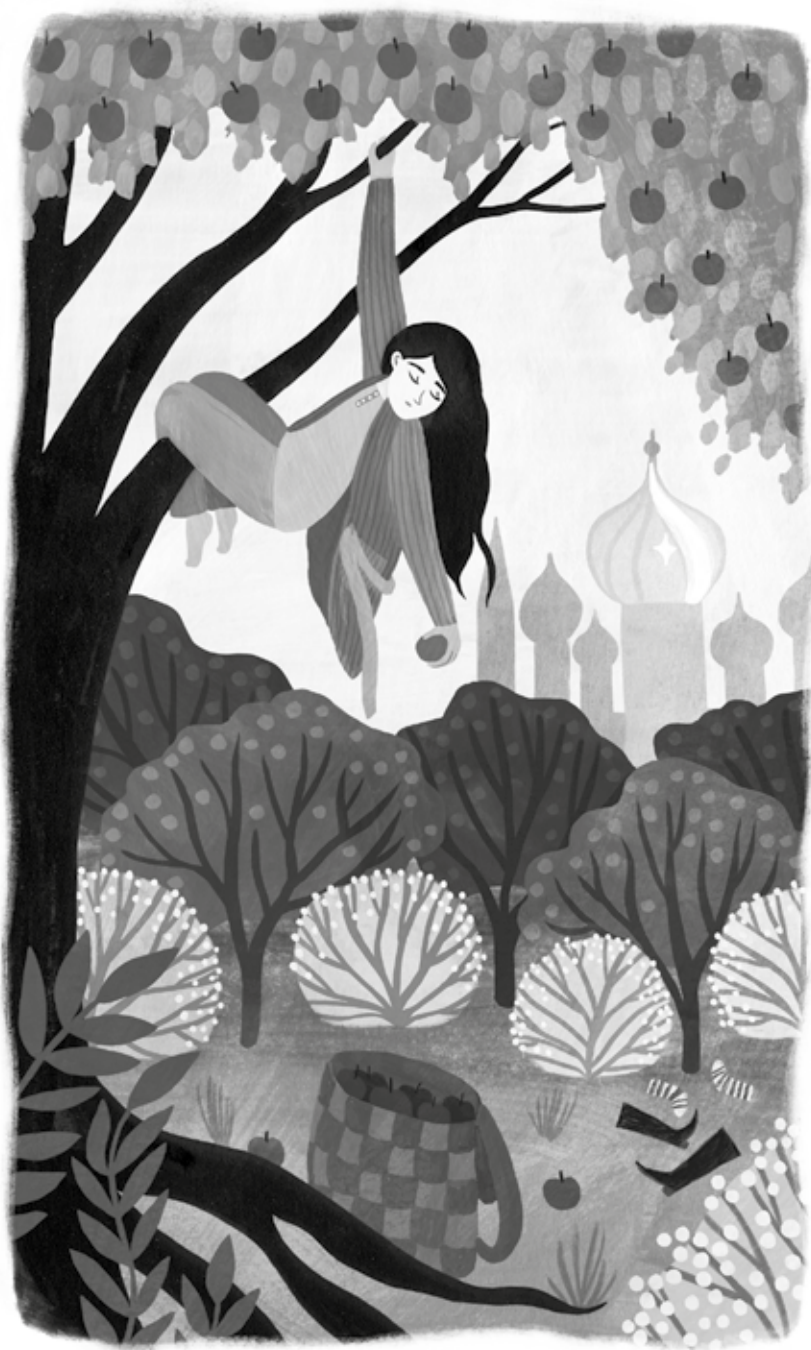
Marszczę brwi. Moja babcia potrafi wyjaśniać różne sprawy w sposób zarazem prosty, jak i skomplikowany. Odnoszę wrażenie, że prawdziwy sens jej słów wybiega daleko poza moją zdolność pojmowania.

Docieramy do cienia rzucanego przez przerośnięty owocowy sad. Babusia prowadzi mnie tamtędy na drugą stronę, w kierunku rosnących tu i ówdzie drzew o żółtych liściach.

– No to co dzisiaj zbieramy? – pytam.

– Renety.

Babusia przystaje. Pomagam jej zdjąć koszyk, a następnie oddaję laskę. Obie spoglądamy na drzewa. Owoce rosnące nisko zostały już zerwane, ale wyższe gałęzie są ciężkie od niewielkich czerwonych jabłek.



Zdejmuję szybko buty i skarpetki i wspinam się na najbliższe drzewo. Bosymi stopami chwytam się grubego, szorstkiego pnia, a dłońmi – każdej gałęzi po drodze, aż w końcu zaczynają mnie otaczać same owoce. Przerzucam nogę przez jeden z większych konarów, siadam na nim i zrywam trzy idealne jabłka. Próbuję podać je na dół Babusi, ale ona zdążyła już powędrować do kolejnego drzewa. Podnosi laskę, grzmoci nią gałąź i pięć owoców spada jej pod nogi. Pochyla się, by je zebrać.

– Co zamierzasz upiec, babciu? – pytam, pozwalając, aby zerwane przeze mnie jabłka zleciały na trawę.

– Szarlotkę na jutrzejsze święto pełni księżycy – odpowiada Babusia, waląc laską w kolejną gałąź i czekając na nowy deszcz renet.

Oblizuję wargi, myśląc nie tyle o jabłeczniku, ile o wszystkich potrawach, które znajdą się na imprezie. Raz do roku, gdy wschodzi księżyc żniwiarzy, gruby i czerwony, Zamek Mila lśni niczym dojrzewająca jeżyna, a jego Wielka Sala wypełnia się ludźmi niosącymi ostatnie owoce jesieni, świeżo upieczone ciasta albo dzemy każdego możliwego koloru i smaku.

Tańce oraz muzyka będą trwać przez całą noc, dopóki nie zajdzie księżyc, a nad Jeziorem Mila nie wzejdzie słońce. W tym roku uroczystości zapowiadają się na większe i radośniejsze niż dotąd, ponieważ zamek obchodzi pięćsetne urodziny.



Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A

15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059